

Na szczytach świata.

Część 2.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty, realizującą autorski projekt „200 szczytów świata”.



Wspinaczka „na żywca” w lodospadach Słowackiego Raju, fot. Stanisław Proszak.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jakie kraje, które do tej pory Pani przemierzyła, najbardziej Pani zapamiętała?

Anna Borecka:

Te, w których nieźle dostałam w kość, a więc Iran i Chiny. Pierwszego dnia w Teheranie zostałam okradziona przez taksówkarza. Potem trafiłam na demonstracje uliczne. Musiałam

przejsć wśród skandującego tłumu i uzbrojonego kordonu policji, żeby dostać się do akademika, w którym mieszkałam. Jednak bardziej dało mi się we znaki codzienne przemierzanie wielomilionowej stolicy, żeby wyrobić trzy wizy do krajów poradzieckich. W pewnym momencie byłam w sytuacji patowej, bo utknęłam tam na dobre. Zaczęłam więc załatwiać pozwolenia od ostatniego w kolejności państwa, czyli Tadżykistanu. A po wizę do sąsiedniego Turkmenistanu musiałam jechać aż pięćset kilometrów dalej, zmieniając wcześniej zaplanowaną trasę. W międzyczasie weszłam na **Demawand** (5610 m), najwyższy szczyt Iranu, więc moje wysiłki zostały nagrodzone.

W Zachodnich Chinach był stan wojenny, na ulicach mnóstwo uzbrojonej policji i wojska oraz czystki w domach Ujgurów. A dogadać się tam nie można „za Chiny Ludowe”. Była też blokada łączności ze światem, więc wybierałam niewielkie kwoty z bankomatu, żeby córce dać znać, że żyję.



Na Demawand (5610 m n.p.m.) z grupą Irańczyków, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Czy zdarzyły się Pani naprawdę niebezpieczne sytuacje?

Zawsze się jakieś zdarzają. W Tadżykistanie zabłądziłam w górach Pamiru i weszłam na teren bazy wojskowej, za co oficerowie chcieli mnie aresztować i zamknąć na pół roku w więzieniu. Szybko wyjęłam mapę i pokazałam skąd przyjechałam autostopem, żeby wspinać się sama w górach. Nigdy wcześniej tak dobrze nie mówiłam po rosyjsku. (Śmiech) Tym ich zaskoczyłam, więc nawet mnie nakarmili i odwieźli do najbliższej wioski.

Na Karakorum Highway zatrzymali mnie chińscy policjanci i zabronili dalej podróżować autostopem. A gdy się im sprzeciwiłam, to jeden mnie szarpał i popychał, a drugi podniósł do góry karabin. Uspokoiliam się, pokazałam wizę w paszporcie i... pojechałam dalej autostopem.

Jadąc „na stopa” przez kazachski step tylko cudem uniknęłam gwałtu, ale opowiadać o tym nie będę. Kto zechce, ten przeczyta w drugim tomie „Alpinistki na autostopie”. W Kosowie byłam w górach sama, gdy ktoś całkiem blisko strzelał z kałasznikowa. Słyszałam głosy kilku mężczyzn, ale ich nie widziałam, bo na szczęście była mgła. Nagle jeden z nich tak przeraźliwie zaczął krzyczeć, że mocno skuliłam się i po cichutku, biegnąc koleinami, opuściłam zagrożony teren.

W Alpach, Pamirze i Karakorum skakałam sama przez szczeliny lodowcowe na wysokości 4000-6000 metrów i parę razy do nich wpadłam, ale na szczęście niezbyt głęboko. Wbiłam więc czekan przed siebie, wyciągnęłam się na nim i odczołgałam, żeby wreszcie stanąć na nogach. W różnych górach miałam kilka wypadków i kontuzji z poważnym uszkodzeniem kolan, naderwaniem mięśni i więzadeł w obu nogach. A na Bałkanach, gdy zwichnęłam prawą dłoń i momentalnie spuchła mi jak bania, to martwiłam się, jak będę łapać „stopa”. Chociaż najpierw musiałam wrócić sama z gór w czasie burzy, zrobić ręczne pranie, bo wszystko było ubłocone, i spakować plecak. To była

męka, każdy ruch sprawiał mi ból, ale przecież sama wybrałam samotny styl podróżowania. Jednak nigdy nie przerwałam wyjazdu, a kontuzje leczyłam dopiero po powrocie do domu, nawet przez pół roku.

Poprzedniego lata, na Cabo Verde, wspinałam się w skale i wyrwałam z niej wielki kamień. On uderzył mnie w nogę, na szczęście nie odpadłam od ściany, ale do dzisiaj mam wgłębienie w udzie. A potem potrącił mnie taksówkarz, bo nie zauważył mnie, gdy cofał auto. Bardzo bolał mnie kręgosłup, ale musiałam założyć plecak i iść dalej, bo przecież nie mogłam się bić ze zbiegowiskiem Afrykańczyków. Jednak byłam w takich nerwach, że kierowca dostał ode mnie parę razy w łeb. To tylko kilka drastycznych sytuacji, jakie przeżyłam, ale zdecydowanie wolę pamiętać te pozytywne.



Autostopem na Karakorum Highway, fot. Anna Borecka.

Czy idąc samotnie w góry zdarzyły się pani jakieś zaskakujące spotkania, nieprzewidywalne sytuacje, z którymi musiała się Pani zmierzyć?

O niektórych z nich już opowiedziałam, więc dla odmiany podam zabawny epizod. W Andorze zeszłam z gór wieczorem, chociaż rozsądniej byłoby zabiwakować gdzieś w lesie. Długo nie mogłam złapać stopa. W końcu zatrzymał się jakiś brodac, ale mówił tylko po hiszpańsku. Skleciłam jakieś zdanie, że zdobywam różne szczyty w Europie, a on uśmiechnął się i zaprosił mnie do auta. I

tym sposobem trafiłam do Asturii, na północy Hiszpanii, w góry Picos de Europa, o których istnieniu wcześniej nie wiedziałam. Cóż było robić, poszłam w góry i tam. Okazało się, że ten brodac, wyglądający jak święty Mikołaj, był emerytem i mieszkał w kamperze. Od czterech lat żył w drodze, zwiedzał kraje Europy Zachodniej, chociaż nie znał języków obcych. Do domu wracał raz na trzy miesiące, żeby zrobić badania, bo od lat poważnie chorował. A potem znów ruszał w świat, mówiąc że te podróże – to dla niego najlepsze lekarstwo, a widoki z okna samochodu – to najpiękniejsza telewizja. Nie chciał ujawniać swojej tożsamości, więc nazwałam go Incognito.

Hm, jeśli chodzi o zaskakujące spotkanie, to przypomniała mi się pewna historia. Na Islandii poszłam sama na najwyższy szczyt **Hvannadalshnúkur** (2110 m). Góra jest niewielka, ale znajduje się na zdradliwym, dużym lodowcu Vatnajökull. Tam pogoda zmienia się co chwilę i często panują arktyczne warunki. Szczeliny przykryte są warstwą śniegu i łatwo zgubić się w zadymce. Nikt więc nie chodzi tam sam, bez liny i bez GPS-u... poza mną.

Za moim drugim podejściem w stronę szczytu nagle zaczęło wiać lodowym powietrzem, kryształki śniegu siekły mnie po twarzy, a potem pojawiła się gęsta mgła, widoczność spadła do zera i zrobiło się czarne niebo. Przestraszyłam się, że mam problemy ze wzrokiem, ale sytuacja ciemności w ciągu dnia powtórzyła się.

Nic nie widziałam, nawet śladów butów na śniegu, które wcześniej mnie prowadziły. Nagle usłyszałam dziwny męski głos, przytłumiony i matowy, niczym wydobywający się spod ziemi: „Zawracaj!”. Stałam jak wryta, nasłuchując. Zrobiłam dwa kroki i znów usłyszałam: „Zawracaj!”. Zatrzymałam się, zdjęłam okulary, nikogo wokół nie było. Jednak nie musiałam się rozglądać, bo czułam, że ten głos nie pochodzi z zewnątrz, ani z mojego wnętrza. On był takim głosem zza grobu. Siódmym zmysłem, który nieraz już mnie ostrzegł, zobaczyłam mężczyznę około czterdziestki, z szarymi, kręconymi, ale krótkimi włosami. Był niewysoki, średniej budowy ciała i miał na sobie gruby, szary sweter z wełny, z długim jasnym włosiem. Do dzisiaj pamiętam tę postać i ten głos, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałam. Zastanowiło mnie to, zaczęłam się kręcić w miejscu, szukając śladów moich butów na śniegu, żeby zawrócić. Jednak zmiotł je wiatr. Na szczęście po kilkunastu minutach trochę się przejaśniło, zobaczyłam szczelinę przykrytą śniegiem, w miejscu gdzie chciałam pójść. Moja droga powinna iść prosto, ale posłuchałam głosu intuicji i zawróciłam.



Jökulsárlón – atrakcja turystyczna na autostopie w Islandii, fot. Anna Borecka.

Okrażyłam autostopem całą Islandię, zwiedzając kilka pięknych miejsc i po tygodniu wróciłam na **Hvannadalshnúkur**. Na szczyt weszłam więc dopiero za trzecim razem, ale i wówczas miałam dziwne zdarzenie. Było mgliście, dosyć ciepło, więc warunki były dużo lepsze. Zatrzymałam się na lodowcu, na łyk herbaty z termosu i usłyszałam za sobą wyraźny, tubalny głos: „Don’t go there!” (Nie idź tam!). Popatrzyłam zdziwiona wokół, lecz nikogo nie dojrzałam. Po chwili ten sam głos powtórzył się z przodu, a tam też nikogo nie było. Poza tym, nie mogło być, bo to był głos mojego przewodnika z Araratu, z 2008 roku. Głos Kurda, mówiącego słabo po angielsku i bez akcentu, w rytmie „ta ta ta”. „Don’t go there!”. Trochę mnie to zdziwiło, a trochę

rozśmieszyło. Tym razem nie posłuchałam, poszłam dalej, przeskoczyłam przez kilka szczelin, a przed samą kopułą szczytową wpadłam prawą nogą do szczeliny aż po samo udo. Szybko wyciągnęłam się na czekanie i odetchnęłam z ulgą. W nagrodę za waleczność zrobiłam kilka zdjęć z czubka góry, bo właśnie na chwilę przetańczyły się mgły.

Reasumując, pierwszy głos ostrzegawczy mógł pochodzić z tak zwanej pamięci zbiorowej. Tak stwierdził mój znajomy już w Polsce, przyprawiając mnie tym o gęsią skórę. Natomiast nie wiem, jakim cudem przemówił do mnie kurdyjski przewodnik, który chyba nawet nie wie, gdzie jest Islandia. Chłopak miał tylko dwie klasy szkoły podstawowej. Najpierw pasł owce na stokach Araratu, a gdy skończył dwadzieścia lat, to pasał tam turystów i alpinistów. (Śmiech) Tak, człowiek nigdy nie jest sam, nawet wtedy, gdy jest o tym przekonany. Czasami zdarzają mu się w górach bliskie spotkania trzeciego, a nawet czwartego stopnia. (Uśmiech)

Napisała pani m.in. książkę „Alpinistka na autostopie”. Czy podróżowanie autostopem, to większa szansa na poznanie ludzi, ich codziennego życia, zwyczajów, marzeń?

Tak, oczywiście, bo obcy ludzie zapraszają mnie do swoich domów. Rozmawiamy o ich poglądach na świat, codziennych troskach, ale rzadko mówią o swoich wielkich marzeniach. Oni

zazwyczaj żyją tu i teraz. Ja mam okazję poznać ich codzienność, a oni cieszą się z odwiedzin niespodziewanego gościa. Piszę o tym w obu tomach „Alpinistki na autostopie”, przedstawiając ludzi z Europy Wschodniej i połowy Azji. Dzięki licznym rozmowom zdobywam wiedzę o różnych krajach i ich mieszkańcach. Mam też możliwość dotarcia do miejsc, których nie znają turyści, np. mogłam przenocować w kirgiskiej jurcie i poznać codzienne życie w górach, wielodzietnej muzułmańskiej rodziny.



Powrót na Pamir Highway po noclegu u gościnnych Kirgizów, fot. Anna Borecka.

A jeśli chodzi o autostop, to mam okazję obserwować różne zachowania kierowców wobec kobiety-autostopowiczki. Polacy, Czesi i Słowacy lubią ponarzekać na swój los, ale rodacy poczęstują gołąbkami lub bigosem ze słoika. Szwajcarom wystarczy informacja skąd jestem. Islandczycy zgarną mnie z drogi w najgorszą zawieruchę. Finowie mają gest – z trenerem golfa jechałam sportowym BMW o wartości 200 000 euro. Z sympatycznym fińskim małżeństwem podróżowałam przez dwa dni aż do ich domu, gdzie zaprosili mnie na wykwintną kolację i nocleg. Mieszkańcy Bałkanów widzą w Polakach kamratów, więc z każdym kierowcą trzeba wypić w barze przynajmniej jedną filiżankę kawy. Austriacy traktują mnie jak powietrze, ale Austriaczki zawsze zawiozą mnie do centrum handlowego, chociaż tam nie jest mi po drodze. Włosi i Hiszpanie nie zabierają autostopowiczów, ale jak któryś się zatrzyma, to już oferuje długą trasę. Podróżując z Francuzem, Turkiem lub Chińczykiem mogę czasami sięść za kierownicą osobówki lub pick-upa. A na Pamir Highway poprowadziłam ciężarówkę pewnego Kirgiza. Wtedy wjechałam na **Ak Baital** (4655 m), najwyższą przełęcz na tej drodze. Z mieszkańcami Azorów zwiedziłam na stopa wyspę Pico, a na Cabo Verde dotarłam autostopem do zamieszkałej kaldery, chociaż tam ponoć nikt nie wozi ludzi za darmo.

Mówi Pani, że na całym świecie żyją ludzie tacy sami jak my. Pod jakim względem są tacy sami?

Dotychczas odwiedziłam 63 państwa na pięciu kontynentach i spotkałam ludzi z wielu innych krajów. Śmiem więc twierdzić, że wszędzie ludzie są do nas podobni, bo mają zbliżone problemy i marzenia, a różnią się miejscem urodzenia. To miejsce bardzo determinuje ich życie, lecz w gruncie rzeczy, oni są tacy sami jak my. Człowiek jest z natury dobry, bo taki przychodzi na świat, czysty, niewinny i ufny. Niestety, później się socjalizuje. Jednak każdy z nas dąży do tego samego, żeby zapewnić byt sobie i rodzinie, żeby żyło się bezpiecznie i wygodnie, żeby radzić sobie z problemami, wyznaczać kolejne cele i w miarę możliwości realizować swoje marzenia. Przekonałam się o tym na autostopie, w podgórskich wioskach, w różnych miastach. Niektórzy ludzie byli początkowo nieufni wobec mnie albo coś kombinowali. Jednak jak zaczęłam z nimi rozmawiać i przekonali się, że jestem normalnym człowiekiem, to stawali się życzliwi i pomocni, albo zostawiali mnie w spokoju. To daje mi wiarę w człowieka. Każdy z nas ma jakieś zalety i wady, i tworzy różne relacje z poznanymi ludźmi, ale w większości wszyscy jesteśmy normalnymi, pozytywnymi osobami. A ci, emanujący negatywną energią, zazwyczaj mają problemy, z którymi sami sobie nie radzą. Dlatego trzeba im pomóc, jeśli czujemy się na siłach, albo omijać ich długim łukiem. W czasie podróży programuję się pozytywnie, więc zazwyczaj spotykam ludzi, z którymi coś mnie łączy, chociażby zwyczajna, serdeczna rozmowa.



Kolacja w tadżyckiej wiosce, ale u Kirgizów, fot. z archiwum Anny Boreckiej.

Powiedziała Pani kiedyś, że skacząc przez szczeliny w Pamirze poznała Pani swoją rodzinę w Kanadzie? Jak do tego doszło?

To oczywiście taki skrót myślowy, ale podoba mi się wizja wielkiego skoku, przez dwa kontynenty i jeden ocean. A historia jest niezwykła. W 2009 roku chciałam wejść na **Pik Avicenny** (7134 m) w Pamirze. Na lodowcu, około 5000 m n.p.m., trafiłam na takie szczeliny, których nie mogłam przeskoczyć. Jednak, sporo ryzykując, pokonałam te zięjące czeluści i dotarłam do

następnego obozu, za rosyjskim alpinistą. Niestety, z powodu trzydniowego huraganu i odczuwalnej temperatury, około -50 stopni Celsjusza, zrezygnowałam z ataku szczytowego. Kilku rosyjskim śmiałkom i tak nie udało się zdobyć siedmiotysięcznika, a jednemu z nich amputowano później kilka palców u nóg. Wycofując się z **Piku Rozdzielenia** (6148 m) pomagałam spakować plecak Polakowi, który miał poodmrażane palce u rąk. Potem zaprosił mnie na „Złot Łojantów z lat 70-tych”. W schronisku „Morskie Oko” poznałam żywe legendy polskiego taternictwa, jak o sobie mówili. Ze zdziwieniem zauważyłam, że są to dziarscy ludzie z poczuciem humoru, wywijający na parkiecie w tanecznym rytmie. Tam też poznałam innego „łojanta”, który zaprosił mnie do Kanady w 2014 roku. Wtedy byłam poważnie chora, więc to zaproszenie potraktowałam jak zbawienie. Żeby wyjść z chorób, musiałam znaleźć konkretny cel, a w Kanadzie nigdy wcześniej nie byłam. Napisałam więc wiadomość na fejsbuku do moich trzech kuzynów, urodzonych w kraju klonowego liścia, że będę w ich okolicy, więc mogę wpaść na kawę. Pierwszy odpisał mi Joe, że w takim razie zaprasza mnie na wesele swojego syna. Właśnie w tym czasie, Adam weźmie ślub z Amandą, piękną Hinduską. Wtedy będę miała okazję poznać całą rodzinę. No to poleciałam! Umówiłam się też na spotkanie ze znajomymi Polakami z Ottawy, których poznałam w drodze na **Aconcaguę** (6960 m) w 2003 r. Reasumując, stojąc przed wielką szczeliną w Pamirze, nie wycofałam się, lecz przełamalam własny strach i przeskoczyłam

na drugą stronę. Dzięki temu poznałam polskich „łojantów”, którzy zaprowadzili mnie aż do rodziny w Kanadzie.



Na lodowcu w Pamirze, około 4500 m n.p.m., fot. Anna Borecka.

Czego nauczyły Panią góry i podróże?

Nauczyłam się pokory wobec gór, małych i dużych, oraz radzenia sobie w różnych sytuacjach. Nauczyłam się też szacunku dla ludzi odmiennych kulturowo, umiejętności rozmowy prawie z każdym człowiekiem, przełamywania własnych barier,

odkrywania piękna świata w drobnych rzeczach. Nazywam to prostotą chleba. Czasami uśmiech lub pozdrowienie przez nieznaną osobę, w obcym kraju, znaczy więcej, niż spotkanie z dużą grupą znajomych. Nauczyłam się, że świat jest piękny, a ludzie są dobrzy i bardzo do nas podobni. Dla mnie nie ma znaczenia, co ktoś posiada, lecz jakim jest człowiekiem. W czasie swoich wypraw poznaję ubogich, lecz pięknych ludzi, którzy mają w sobie radość i spokój. I tego staram się od nich nauczyć, chociaż z różnym skutkiem.

Czego oczekuje Pani od życia?

Zdrowia i szczęścia dla moich bliskich i znajomych. Chciałabym też, żeby nam wszystkim żyło się lepiej i ciekawiej. Dla siebie chcę realizacji projektu „200 Szczytów Świata” oraz posiadania „m&m’s-ów”. Nie chodzi tu o kolorowe czekoladki w kształcie kulek, ale o „man&money”. Potrzebuję życzliwych ludzi na całym świecie, którzy pomogą mi osiągnąć górskie cele. Ja w zamian będę o nich pisać w moich książkach i opowiadać na prezentacjach. Przydałoby się też zarobić trochę pieniędzy na moich pasjach, żeby nie tułać się autostopem po świecie i nie nocować w klaustrofobicznym namiocie, gdzieś na odludziu, lecz spać w łóżku, w jakimś hostelu, albo jeszcze lepiej w jeepie lub kamperze. Wtedy szybciej mogłabym realizować projekt i zabrać w podróż chętne osoby. Mój górski projekt to już nie pasja, lecz imperatyw! To cel zawodowy na najbliższe dziesięć lat albo do

wyczerpania zapasów państw i gór. A potem to już będę pisać same bestsellery. (Śmiech)

Pierwsza część wywiadu:

<https://www.cultureave.com/na-szczytach-swiata-czesc-1/>

Książki Anny Boreckiej:

„Alpinizm – życie na haju”, książka wydana nakładem autora, Wrocław 2006;

„Alpinistka na autostopie. Tom 1. Przez Karpaty na Ararat”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2015;

„Alpinistka na autostopie. Tom 2. Z Polski do Chin”, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2016.

„Śpiew lodowca”, książka w przygotowaniu, planowane wydanie w 2019 roku.

Na szczytach świata.

Część 1.

Rozmowa z Anną Borecką, samotną alpinistką, autostopem przemierzającą kolejne kontynenty.



Plakat do autorskiego projektu, fot. i oprac. Anna Borecka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jest Pani autorką projektu „200 szczytów świata”. Do tej pory zdobyła już pani 50 gór. Na czym polega ten projekt?

Anna Borecka:

Moim celem jest zdobycie najwyższych szczytów we wszystkich państwach na świecie. Jest to pionierski projekt, bo jeszcze nikt tego nie dokonał. Jednak tych gór jest trochę więcej, niż

dwieście. W Kolumbii są dwie wzniosłości o podobnej wysokości, Cristóbal Colón i Simón Bolívar (5775 m). Nie wiadomo, która z nich jest trochę wyższa, więc trzeba wejść na obie. Natomiast w niektórych państwach afrykańskich są nawet trzy wierzchołki do osiągnięcia, bo nie ma dokładnych pomiarów, a różne plemiona uważają, że to na ich terenie jest najwyższy pik. Ja zdobyłam 50 szczytów, w większości podróżując autostopem w pojedynkę. Projekt realizuję od pięciu lat i w tym czasie weszłam na 31 najwyższych gór. Jednak niektóre z nich zdobyłam zespołowo i w różnych latach. W sumie mam w swojej kolekcji **Ararat** (5137 m), **Demawand** (5610 m), **Elbrus** (5642 m), **Aconcagua** (6960 m) i wszystkie najwyższe szczyty lub punkty w europejskich państwach, poza Białorusią. Ostatnio dołączyły do nich **Dżabal Tubkal** (4167 m) w Maroku czy **Pico do Fogo** (2829 m) na Cabo Verde. Z jednej strony to dużo, a z drugiej, to dopiero ćwierć projektu. Jednak jestem optymistką. Skoro pół roku temu porzuciłam pracę w pewnej firmie, żeby zawodowo realizować moje górskie marzenia, i zajmuję się teraz promocją projektu, to wkrótce pojawi się ktoś, kto do mnie dołączy. A razem możemy zrobić więcej. Dzięki moim publikacjom i prezentacjom mam już w Polsce i innych krajach zwolenników, którzy swoją popularną „Koronę Europy” przekształcają w „Koronę Globu”. Cieszy mnie to, że inspiruję innych do poznawania świata i realizacji marzeń na wysokim poziomie. (Śmiech)

Jednak większość entuzjastów mojej idei działa standardowo.

Zazwyczaj ludzie organizują szybkie i drogie wyjazdy na pojedyncze góry. Ja podróżuję tanio, ale wolno, bo autostopem, i przez kilka tygodni zdobywam kilka szczytów w sąsiadujących państwach. Kiedyś realizacja takiego globalnego projektu była pobożnym życzeniem, a teraz to kwestia doświadczenia, determinacji i finansów. Ja w dwóch pierwszych dziedzinach jestem dobra, ale w trzeciej, to muszę się jeszcze sporo nauczyć. Dotychczas wiele rzeczy robiłam wolontaryjnie lub za niewielką opłatą: prezentacje, artykuły, książki, a także pomoc innym. Teraz marzy mi się długa wyprawa na 3, 6 lub 12 miesięcy, żeby realizować trzeci etap projektu, czyli **32 Piki Ameryki**. Teoretycznie jestem już przygotowana, fizycznie chyba też, bo trenuję po półtorej godziny dziennie. Muszę tylko zrobić jakiś wielki skok, żeby znaleźć się po drugiej stronie Atlantyku. A potem, w miarę szybko i bezpiecznie zdobywać kolejne wulkany, wzgórza schowane w dżungli lub wspinać się na zacne sześćtysięczniki. Na niektóre z nich potrzebuję partnera wspinaczkowego, bo w pojedynkę to strach. Jestem więc na kolejnym życiowym zakręcie, ale oczami wyobraźni widzę tylko górską drogę w stronę szczytu. Ktoś więc musi mi pomóc, bo człowiek nigdy nie jest sam. Ktoś, kto znajdzie swoje miejsce w projekcie „200 Szczytów Świata”.



Zbieranie informacji przed wyprawą, fot. Michel Evers.

Jak się Pani przygotowuje do wypraw?

Przed wyprawą do Chin poświęciłam aż cztery miesiące na przygotowania, a w drodze spędziłam trzy miesiące. To jednak była moja druga samotna ekspedycja i jak na razie najdłuższa. Teraz mam taką zasadę, że każda rzecz musi być wielofunkcyjna, bo inaczej nie jedzie ze mną na wyprawę. Za karę zostaje w domu, siedzi w kącie i czeka do mojego powrotu. Wtedy ponownie weryfikuję, co powinnam wziąć, a co zostawić. Przed wyjazdem robię *casting*, ważę, mierzę i wybieram tę rzecz, która jest najlżejsza. Żeby zminimalizować ciężar bagażu odcinam nawet metki od ubrań. Zamiast butów trekkingowych zabieram

buty do biegania. Pakuję śpiwór o połowę cieńszy, ale i lżejszy, niż powinnam mieć. Podobnie jest ze sprzętem wspinaczkowym, biorę tylko niezbędne minimum: dwa karabinki, trzy taśmy, jedną śrubę lodową, raki i czekan. A innym razem zabieram tylko pozytywną afirmację i nadzieję na szczęśliwy powrót. I oczywiście złoszczę się na siebie, gdy czegoś brakuje mi w górach, gdy moknę na drodze, gdy marznę w namiocie. Pakuję się więc skrupulatnie, ale minimalistycznie, a i tak mam 20 kilogramów w plecaku. Informacje o trasie i górach czerpię z Internetu, czasem podpytuję też znajomych. Mapy otrzymuję z zaprzyjaźnionej „Księgarni Podróżnika”. Tanie bilety lotnicze, na wyspy-państwa, wyszukuje mi córka, Kalinka. A Kuba, mój zięć, pomaga mi w tematach fotograficznych. Znajomy artysta-podróżnik, czasem da jakąś dobrą radę. Okazjonalnie ktoś inny pomoże w załatwieniu jakiejś sprawy.

Jak Pani dba o zdrowie i urodę w podróży?

Zabieram ze sobą minirecznik i minikosmetyki, więc trudno mówić o dbaniu o urodę. Po zejściu z gór, moimi zdjęciami można by straszyć dzieci. Poważnie! W górach nie ma mowy o makijażu, ale przed powrotem do cywilizacji muszę chociaż „zrobić oko”, żeby nie przerazić dorosłych.

Do niedawna uważałam, że najlepszymi kosmetykami dla kobiety są górskie słońce i wiatr. Jednak ostatnio zmieniłam zdanie, bo to

prawdziwe SPA: solarium, sauna, lifting i masaż w jednym. Często są nawet bicze wodne lub krioterapia - opuszki u rąk, palce u nóg oraz stopy przymroziłam już kilka razy. Po peruwiańskim słońcu miałam poparzenie twarzy drugiego stopnia, więc skóra zeszła mi z niej całkowicie, ale stopniowo. Najpierw wyglądałam jak pomarańcza obierana po kawałku, lecz po jakimś czasie miałam buzię gładką, jak pupcia niemowlaka. Przed bliznami na twarzy uchronił mnie zwykły „Dermosan”, który dostałam od kolegi z grupy. Znów miałam szczęście, chociaż w górach można znaleźć lepsze kosmetyki, niż w teatralnej garderobie. No i charakteryzację ma się lepszą, niż niejeden aktor... w horrorze. Standard, to twarz spalona słońcem, spuchnięta i z lekkimi odmrożeniami, usta broczące krwią, a włosy zniszczone i potargane. Ja po dłuższym wyjeździe doprowadzam się do porządku przez kilka dni. Za to woda w górach jest cudna, rześka i zdrowa, byle nie ta z lodowca. W Europie najlepsza jest w Islandii i Szwecji, tak przynajmniej twierdzą Skandynawowie.



Wysokogórskie selfie – Pik Rozdzielenia (6148 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Kiedy odkryła Pani w sobie pasję wspinaczkową?

Wkrótce po urodzeniu dziecka. Poważnie! Ale zacznę od początku.

Moja przygoda z górami zaczęła się, gdy miałam 12 lat. W Beskidach zachwyciłam się pięknym widokiem i powiedziałam, że zawsze chcę chodzić po górach.

Na pierwsze taternickie ścieżki weszłam zaraz po zdaniu matury.

W trzecim tygodniu ciąży zdobyłam **Żabi Szczyt Wyżni** (2259 m), a niedługo potem córka otrzymała tatrzańskie imię. Wtedy jeździliśmy rodzinnie w Tatry, ja z mężem i z siostrą. Byliśmy stałymi bywalcami szałasów na Rusinowej Polanie, a tam rosło piękne drzewo kaliny. Tak narodził się pomysł imienia dla naszej Kalinki. A potem rodzinnie podnieśliśmy sobie poprzeczkę. W skałach Krystyna poznała swojego przyszłego męża, Roberta, więc wspinaliśmy się w dwóch zespołach, w kobiecym i męskim.

Gdy zostałam mamą przyszła do mnie w odwiedziny moja siostra i powiedziała, że zapisuje się na kurs wspinaczkowy. Ja na to, że też bym chciała, ale jestem już żoną i matką. Nie miałam jeszcze wtedy 22 lat, ale wydawało mi się, że na wiele rzeczy jest już za późno. Siostra stwierdziła jednak, że w życiu zawsze trzeba iść naprzód, więc poszłam.

Jesienią chodziłam na kurs teoretyczny, a wiosną miałyśmy razem kurs praktyczny w Górach Sokolich, koło Jeleniej Góry. Moja córka miała dziewięć miesięcy, gdy zaczęłam się wspinać. I to w oryginalny sposób, bo byłam zabalsamowana niczym mumia. Jako „Matka Polka z Karmiących” nie mogłam sobie poradzić z nadmiarem pokarmu, ale Krystyna znalazła na to sposób. Była wtedy pielęgniarką, więc codziennie przed wspinaczką bandażowała mi tułów. I tak zdałam egzamin. Od razu złapałam wspinaczkowego bakcyła. To była duża adrenalina i strach, ale też radość z pokonywania trudności technicznych.

Ważylałam wtedy 53 kilogramy i z ciekawością uczyłam się poruszania w pionie. W pasie miałam 62 cm, a alpinista szyjący mi uprząż wspinaczkową stwierdził, że takiej szczupłej klientki to jeszcze nie miał.

Pamięta Pani swoją pierwszą wyprawę?

Najpierw były wyjazdy wspinaczkowe w Sokoliki, potem w Tatry i Alpy, weekendowo lub wakacyjnie. Wspinaliśmy się związani liną, na drogach trójkowych lub czwórkowych. Na pierwszą wyprawę, w dodatku komercyjną i w dużej grupie, wyruszyłam w Kaukaz, w 2003 roku. W ciągu 26 dni wspięliśmy się po skale na szczyt mierzący około 3900 m, potem na **Uiłpatę** o wysokości 4644 m, jeszcze weszliśmy na **Czeget Karabaszi** (3753 m), **Kurmutau** (4045 m) i na oba wierzchołki **Elbrusu** (5642 i 5621m). Było trochę wspinaczki pod okiem zawodowego instruktora z Białorusi, a trochę trekkingu na niezbyt trudne, ale wysokie bałuchy.

Jednak w życiu zawsze miałam pod górkę. Na pięć dni przed tą wyprawą musiałam wezwać pogotowie. Przestałam widzieć, serce waliło mi jak młotem i bałam się, że zemdleję. Miałam jakiś wstrząs anafilaktyczny, bo antybiotyk, który brałam, ponoć był już rzadko zalecany przez lekarzy. Pogotowie chciało mnie zabrać do szpitala, a ja na to, że mam opłacony urlop i niedługo wyjeżdżam. Nie przyznałam się, że przez prawie miesiąc będę

dźwigać 30-kilogramowy bagaż na Kaukazie. Potem z trudem spakowałam się, a gdy zakładałam plecak, to przewróciłam się pod jego ciężarem. No, ale za trzecim razem udało się. Żeby zregenerować siły, w czasie dwóch dni podróży pociągiem, dużo spałam. W Północnej Osetii nocowaliśmy w starym zamczysku i tam miałam kolejny atak, na szczęście już słabszy. Wtedy pomógł mi jeden z uczestników wyjazdu, były komandos, który znał zasady pierwszej pomocy. Potem jeszcze zasłabłam w górach, na chwilę przed tym, jak dopadła nas lawina. Jednak nie przyznałam się, co się ze mną dzieje. Byłam zdziwiona reakcją niektórych osób, bo ta lawina nie była wcale taka duża. Ja bardziej bałam się, że padnę z powodu trefnego antybiotyku, niż niewielkich bryłek śnieżno-lodowych.

Potem były inne wyprawy grupowe: na **Aconcaguę** w Argentynie (6960 m), na **Pisco** (5752 m) w Peru. Był też wyjazd wspinaczkowy na siedem czterotysięczników w masywie Monte Rosa, we Włoszech. Dzięki temu zdobyłam doświadczenie, potrzebne do realizacji samotnych wypraw: przez Karpaty na Ararat, autostopem do Chin – ze wspinaczką powyżej 6000 metrów, autostopem w góry niemal całej Europy, a ostatnio nawet Afryki.



Na zachodnim wierzchołku Elbrusu (5642 m n.p.m.), fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Kiedyś wspinała się pani zespołowo, teraz samotnie. Czy coś się stało, że zdecydowała się Pani na tak odważne, samodzielne wyprawy?

W latach 2001 – 2006 wspinałam się w męskim gronie, ale w różnych, często przypadkowych zespołach. Weszłam wtedy na takie szczyty, jak **Triglav** (2863 m), **Mont Blanc** (4810 m), **Grossglockner** (3798 m) i wspomniane powyżej góry. Wspinałam się też w lodospadach Słowackiego Raju i w austriackim Maltatalu. To był nowy żywioł i fascynacja naturą: 20 stopni mrozu, zamarznęty wodospad i niebywała cisza. A ja,

uzbrojona w czekany i raki do wspinaczki lodowej oraz trochę szpeju, szłam znów w pionie. Najpierw wspinaliśmy się „na wędkę”, a potem w zespołach dwu- lub trzyosobowych. Chłopaki nie pozwalali mi prowadzić, bo oni mieli po 10-15 lat doświadczeń we wspinaczce lodowej, a ja byłam świeżynką. Parę razy poszłam więc na żywca, czyli sama i bez asekuracji, na niewielkich lodospadach. No więc raz czy dwa pozwolili mi prowadzić.

Latem 2006 roku nastąpił przełom, bo umówiłam się online, na wspinaczkę w Sokolikach, z kimś, kogo nie znałam. I wtedy przeszłam drogę wspinaczkową, na której zginął mój mąż – Darek. Oczywiście nic o tym nie powiedziałam nowemu koledze. Dowiedział się o mnie trochę więcej, gdy spotkaliśmy się jakieś pół roku później i wręczyłam mu swoją pierwszą książkę, pt. „Alpinizm – życie na haju”. W niej opisałam nie tylko zabawne historie ze wspinaczki zespołowej i zdobywania gór do 2006 roku, ale też wypadek Darka, moją traumę i antidotum na nią, jakim po latach okazały się znowu góry.

W roku 2007 postanowiłam, że nie będę się już wspinać. Jednak w 2008 roku zginął w górach mój znajomy, a jego żona poprosiła mnie o zajęcie się akcją ratowniczą i sprowadzeniem ciała do Polski. Wtedy przeżyłam kolejną traumę, a jak się z niej otrząsnęłam, to paradoksalnie, postanowiłam zorganizować samotną wyprawę. Pomyślałam wtedy, że przynajmniej nikt mi

na niej nie umrze.



Wspinaczka w lodospadach Słowackiego Raju, fot. ze zbioru Anny Boreckiej.

Mówi Pani o śmierci w górach. Gdy oglądałam film dokumentalny Pawła Wysoczańskiego „Jurek” o himalaiście Jerzym Kukuczce, targały mną różne emocje, od podziwu po żal. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego alpiniści zakładają rodziny, dlaczego narażają bliskich na życie w wiecznym strachu? Pani też straciła w górach męża w 1992 r. Nie umiem sobie wyobrazić traumy, którą

musiała Pani przejść, zostając sama z dwuletnią córeczką. A jednak... dalej Pani zdobywa szczyty.

Niestety, każdy alpinista naraża swoich bliskich na wielki stres i w tym jest egoistyczny, ja także. Jednak organizując samotne wyprawy, wybieram góry w granicach moich możliwości fizycznych, zdobytego doświadczenia i trudności wspinaczkowych. W moim projekcie „200 Szczytów Świata” jest wiele zwykłych, turystycznych gór, lecz te, na których trzeba zawalczyć, są po prostu bardziej zacne. Te mnie najbardziej cieszą.

A jeśli chodzi o tamtą sprawę, to... Darek miał 25 lat, gdy zginął, a ja miałam 24 lata. Córka miała wtedy dwa latka i przykrywała mnie tetrową pieluszką, gdy płakałam zwinięta w kłębek. Przez wiele lat czułam się winna, że pojechaliśmy na wspinaczkę w czwórkę, a wróciliśmy w trójkę, że dziecko straciło ojca, że ja żyję... Dzięki mojej mamie podźwignęłam się, bo kazała mi żyć dla córki. Dopiero po czternastu latach całkowicie wyszłam z traumy, właśnie wtedy, gdy przeszłam skalną drogę, na której zginął Darek. Napisałam o tym w książce, bo to było moje osobiste *katharsis*. Z córką do dzisiaj jestem silnie związana emocjonalnie. Czasem nawet zamieniamy się rolami, gdy ona mi trochę matkuje, jednak bardziej jesteśmy przyjaciółkami.

Co takiego jest w samotnych wyprawach, że tak Panią

pociągają?

Mam kilka powodów do organizacji samotnych wypraw, jak wolność, ciekawość świata i ludzi oraz notoryczny brak kasy. No, taka jest prawda. Z jednej strony jestem organizatorem, liderem i uczestnikiem, więc robię wszystko tak jak chcę, biorąc pod uwagę znikome fundusze. Z drugiej strony cieszę się z poznawania nowych krajów i ciekawych osób, oraz radzenia sobie na autostopie lub w górach. Odkryłam też nowe umiejętności, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Jest to błyskawiczne podejmowanie decyzji w sytuacji zagrożenia, w kontaktach z ludźmi i w czasie walki z żywiołami. Jest to totalna koncentracja podczas solowej wspinaczki w obcym terenie. Jest też trening mentalny przed i w czasie wyjazdu, oraz powtarzanie mantry, że spotykam tylko dobrych ludzi. Wreszcie jest to korzystanie z intuicji. Są też piękne spotkania z ludźmi o pokrewnych duszach, którzy od razu wydają mi się znajomi. Są bajeczne krajobrazy, jest czas na fotografię i na zadumę. To ta niezależność tak mnie pociąga. Poza tym, nikt nie brzęczy mi nad uchem, opowiadając o swoich problemach w czasie, kiedy powinien skoncentrować się na drodze lub pięknie otaczającego świata. Góry są też świetnym miejscem na oczyszczanie psychiki z przyziemnych spraw oraz organizmu – z miejskiego smogu. Tak, niektórym ludziom wyjazdy górskie powinny być zalecane na receptę. (Śmiech) A ja mogę te recepty wypisywać.

Bywają też niezwykle spotkania z przyrodą. Kiedyś rozbiłam namiot nad jeziorem, w górach Sierra Nevada w Hiszpanii, na wysokości 3000 metrów. I przyszła do mnie górska kozica. Wskoczyła na duży głaz i spojrzała w dół. Gotowałam wtedy zupełnie na kuchence turystycznej. Kozica mnie widziała, a jednak stała na kamieniu z wyciągniętą szyją, wdychając zapachy. Ostrożnie sięgnęłam po aparat fotograficzny, jednak ona była szybsza. A szkoda, bo miałaby piękny portret z odległości dwóch metrów, jako zdjęcie profilowe na fejsbuku. (Śmiech)



W górach Sierra Nevada do koleby przyszła górska kozica, fot. Anna Borecka.

Czy dla Pani góry to jest rodzaj uzależnienia?

W górach czuję się jak w domu. Wielu ludzi boi się dzikiej natury, żywiołów, trudów, ucieka od niewygód i niebezpiecznych sytuacji. A ja gdy idę w góry, to gęba śmieje mi się od ucha do ucha. To jest mój raj na Ziemi, bo góry są święte. Dopiero tam człowiek dostrzega, jaki jest mały, i że jest tylko częścią natury. Wtedy wszystko wydaje się bardziej proste. Łapie się dystans do wielu spraw i do samego siebie. Wówczas przychodzi mi na myśl, że nie muszę nic, więc mogę wszystko. Mogę wreszcie realizować swoje marzenia.

Bywają też chwile grozy, gdy proszę Boga, żeby dał mi choć jednego człowieka. To jest dziwne, ale czasem łatwiej jest wspinać się po obludzonej grani, gdy ktoś jest obok. Nawet, gdy to jest ktoś obcy i działający samodzielnie. Chociaż miałam niezwykle przeżycie w drodze na Mont Blanc, w czasie śnieżnej zadymki. To było moje drugie spotkanie z tą górą, jednak przy okazji, bo moim głównym celem było wspięcie się na **Mont Blanc de Courmayer** (4748 m), najwyższy szczyt Włoch. Było dosyć stromo, zimno i ślisko, a ja byłam sama, w dodatku w minirakach – z sześcioma zamiast dziesięcioma zębami. Ręce przymarzały mi do czekana i kijka trekkingowego, ostrza raków słabo wchodziły w lód i zaczęłam się bać. Po chwili, ni stąd, ni zowąd, spłynęła na mnie dziwna cisza. Pomyślałam wtedy, że to nieważne, co się za chwilę stanie, bo ja już tutaj zostawiłam swój

ślad. Gdybym nawet spadła z tej grani, to nie ma to żadnego znaczenia, bo przecież należę do tej góry tak samo, jak ona należy do mnie. To było wtedy takie oczywiste, że uspokoiliłam się i ruszyłam dalej.

Czy góry uzależniają? Tego nie wiem. Dla mnie to jest zew. W pewnym momencie jakaś góra zaczyna za mną chodzić, więc i ja muszę do niej iść, żeby się przywitać, poznać bliżej i mieć własne zdanie na jej temat. Z resztą, myślę, że z wzajemnością. (Śmiech) A poważnie mówiąc, to góry są niezłą szkołą życia, nauką o wolności w ekstremalnych warunkach.



Wschód słońca w drodze na Mont Blanc (4810 m n.p.m.), fot. Anna Borecka.

Dalszy ciąg rozmowy z Anną Borecką, o przemierzonych krajach, spotkanych ludziach, przygodach w górach, życiowych celach i nauce, jaką otrzymuje się od gór – ukaże się w piątek 15 marca 2019 r.

O Annie Boreckiej:

<https://www.cultureave.com/sukces-2018-50-gora-sposrod-200-sz>

czytow-swiata/